

Michał Głowiński

Małe szkice

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 2 (56), 179-186

1981

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Przechadzki

Michał Głowiński

Małe szkice

Monolog w pustce

W zatłoczonym warszawskim autobusie niezbyt jeszcze stara, sympatycznie wyglądająca kobieta opowiada o swoich nieszczęściach. Mimo że ma takie zasługi z czasów okupacji, a potem przez lata rzetelnie pracowała, zawzięli się na nią źli ludzie, pozbawili pracy, chcieli umieścić w szpitalu, skazali na nędzę; w czasie surowej zimy nogi przymarzały jej do łóżka. Nawet lekarze ulegli nieżyczliwym namowom, nikt nie ma dla niej zrozumienia i litości; teraz jedzie do ważnego urzędu, bo tam może jej wysłuchają. Wypowiada te zdania na jednym tonie, bez przerwy, i nieustannie je powtarza — zawsze w tym samym porządku. Niewątpliwie pragnie potwierdzenia i współczucia ze strony nieznajomych, ale w istocie nie zwraca na nich uwagi, mówi do wszystkich — i do nikogo. Mimo ścisku mówi w całkowitej pustce. Współtowarzysze podróży milczą, wyzwanie nie zostaje podjęte. Fałszywie zabrzmiałyby wyrazy pocieszenia i aprobaty, toteż nikt się na nie nie zdobył, nikt nie chciał wejść w ów nieszczęsny świat choćby na moment, by współczuć. Ale równie fałszywe byłyby rady czy pouczenia. Na mowę, świadczącą o tak wielkim wyalienowaniu, nie ma dobrych reakcji. I słowa, i milczenie są w równym stopniu nie na miejscu. Kiedy opuszczałem autobus, ten złożony z kilku powtarzających się zdań monolog toczył się dalej. Wysiadałem — «milczącym faryzeuszem».

Sztuka niemówienia dzień dobry

Do pewnych czynności, gestów, wypowiedzi jesteśmy od małego tak przyzwyczajeni, że w istocie nie zdajemy sobie z nich sprawy. Gdy spotykamy — na ulicy, w autobusie, na korytarzu czy gdziekolwiek indziej — osobę znaną sobie choćby przelotnie, mówimy dzień dobry bezrefleksyjnie, nie namyślając się. I osoba ta równie bezrefleksyjnie odpowiada. Zastanowienia wymaga dopiero powstrzymanie się od tego tak powszechnie przyjętego w naszej kulturze zwyczaju. Znacząca jest bowiem nie czynność, ale jej zaniechanie. I dopiero milczenie stać się może przedmiotem dociekań, interpretacji, domysłów. Powiedzenie dzień dobry nie musi mieć następstw, aczkolwiek może być początkiem wielu różnych wydarzeń; z milczenia zaś z pewnością nic nie wynika. Kiedy wstrzymuję się od tego — jakże konwencjonalnego — powitania, powiadamiam, że traktuję daną osobę jako istotę anonimową, że nie przyznaję jej statusu — jakby powiedział Witkacy — istnienia poszczególnego, że nie mam jej ochoty wyróżnić spośród tych, których nie znam i z pewnością nigdy nie poznam. Kiedy rezygnuję z dzień dobry, wyłączam osobę, wobec której tak się zachowuję, ze sfery zainteresowań (choć niekiedy na pozór tylko: gdy takie postępowanie jest wyrazem nienawiści bądź pogardy), skazuję na nieobecność.

Dużo mówi się ostatnio o hermeneutyce. Polega ona chyba nie tylko na wnikanii w świat drugiego, utrwalony w księgach. Ujawnia się także w życiu codziennym. Powiedzenie dzień dobry jest pierwszym taktiem hermeneutycznej postawy, świadectwem gotowości, przekroczeniem progu. I tak jesteśmy przez naszą kulturę do tej czynności przygotowani, że rezygnacja z niej staje się swojego rodzaju sztuką.

Placebo

Placebo, jak wiadomo, to pozór leku, ordynowany wówczas, gdy pacjent oczekuje lekarstwa, odczuwa jego psychologiczną potrzebę, nie ma zaś żadnych rzeczywistych uzasadnień, by je zapisać. Jako takiego pseudoleku używa się choćby zwykłej wody. Placebo stanowi odpowiedź na żądanie pacjenta.

Wyobraźmy sobie — dość fantastyczną zresztą — sytuację, w której lekarz przepisuje leki tylko dlatego, by utwierdzić się w swej roli, by zaakcentować swój medyczny autorytet; działa jednak w myśl zasady: przede wszystkim nie szkodzić — i zaleca czystą kranową o letniej temperaturze. To, co byłoby pełną fikcją w zastosowaniu do lekarza, nie jest nią bynajmniej w przypadku osób zabierających głos publicznie. Placebo jest zjawiskiem częstym w naszej mowie, wynika z dążenia do tego, by zaznaczyć swą obecność czy potwierdzić samą możliwość mówienia. Nie bez powodu słowo «woda» stosuje się także do mowy, a «wodolejstwo» stanowi rodzimy odpowiednik greckiej «logorei». Mówi się przeto dla samego mówienia, choć nie tego oczywiście oczekują słuchacze. Mówi się zastępczo, po to — by mówić. Mówić o niczym. O sprawach błahych, choć są do omówienia ciekawsze i istotniejsze. Mówić tak przede wszystkim, by się nikomu nie narazić. Ani temu, który twierdzi, że dana rzecz jest biała, ani temu, który głosi, że jest czarna; by nie wejść w konflikt ani z tym, który utrzymuje, że jest ona pomarańczowa, ani z tym, który żywi przekonanie, że jest żółta w kropki bordo. Mówić — nijako. Nie dlatego, że inaczej się nie potrafi. Z założenia. Ukształtowała się cała retoryka funkcjonująca na zasadach placebo.

Myszy jedzą papier

Mysz, dlatego że niegdyś całą książkę zjadła...

Ignacy Krasicki.

Żarłoczne, łapczywe, bezwzględne jak szarańcza, rzucająca się na wszystko. Jedzą bez wyboru papier wszelki. Czerpany i gazetowy, offsetowy i kredowy. Nic się przed nimi nie ostanie. Książki, dzienniki, ulotki, albumy, szacowne tomy w skórę oprawne i mizerne rozlatujące się broszury. Wszystko, co ubarwione drukarską farbą, stanowi przysmak szczególny. Pożerają znaki. Przetrawiają je tak, by nic z nich nie pozostało. A gdy — nienasycone — wreszcie zaspokoją swe apetyty, gryzą dla samej przyjemności gryzienia, ich małe ostre ząbki — jak perpetuum mobile — nie znają stanu spoczynku. Gryzą we śnie i na jawie, w deszczu, w mrozy i w piękne pogody. I pozostawiają tylko pola, place,

ulice zasłane szczątkami niegdysiejszych ksiąg, z których nic już nie da się złożyć; poszczególne litery utraciły wszelkie znaczenie, stały się martwymi literami — na wielkim śmietniku naszego świata, pozbawionym sensu.

Kim był Jan Podbielski?

Nazwisko to nie brzmi obco dla amatorów dawnej muzyki polskiej. Jan Podbielski jest autorem trwającego nie dłużej niż trzy minuty preludium organowego. Żaden inny ślad po nim nie pozostał, wiadomo tylko, że działał w XVII w. Trudno sobie wyobrazić, by twórca, choćby nawet żył krótko, napisał jedną tylko miniaturę, zwłaszcza gdy jest ze wszech miar udana. Kim więc był Jan Podbielski? Wybitnym kompozytorem, oryginalnym, głębokim, płodnym — i jedynie złośliwy kaprys historii sprawił, że z jego dorobku dotarł do potomnych ten jeden niewielki utwór? Można pofantazjować, głosząc, że równy był największym — i tylko my, ograniczeni w naszym historycznym poznaniu, nie możemy tego stwierdzić, bo wiedza zależy od przekazów, których w tym przypadku zabrakło. Ale też można postawić tezę inną: Jan Podbielski był ulubieńcem fortuny. Z jego dorobku przetrwał jedyny dobry utwór i, istniejąc w pojedynkę, zwrócił na siebie uwagę. Gdyby dochowała się reszta, owo organowe preludium przytłoczone by zostało masą przeciętności, pozbawioną cech indywidualnych, świadcząca co najwyżej o stylu epoki. Albo jeszcze inaczej: preludium jest w istocie utworem anonimowym (tak jak wiele innych polskich zabytków muzycznych z tego czasu), skoro nazwisko autora nic nam naprawdę nie mówi. Tyle możliwości, nie pozostaje więc nic innego, jak powtórzyć pytanie: kim był Jan Podbielski?

Święta rzymskie

Ottorino Respighi napisał w roku 1929 poemat symfoniczny «Feste romane», utwór świadczący zarówno o dużym kunszcie, co wątpliwym smaku. Jego literacki program nie odwoływał się bynajmniej do Rzymu cesarów, choć i w nim świąt nie brakowało, ani też do Rzymu z czasów Renesansu (to do niego

właśnie nawiązał Berlioz w znanej uwerturze «Karnawał rzymski», skomponowanej w roku 1843), ale do Rzymu Mussoliniego, w którym świętowań było jeszcze więcej. Nawet gdy podszywały się one pod ludowość, miały charakter oficjalny i nic ich nie łączyło z karnawalem, o którym tak pięknie pisał Bachtin. Nie uchylały reguł obowiązujących w faszystowskim świecie, ale — przeciwnie — miały je utwierdzać. To w świętach właśnie wyrażała się w pełni mityczna koncepcja dziejów, z zasady nieufna wobec wszelkiej codzienności, a więc czasu nie naznaczonego ideologią, podejrzanego w swej zwykłości, miałkiego i nic nie znaczącego. Święta zmierzały do podporządkowania sobie dnia codziennego i prawdopodobnie całkiem by go pożarły, gdyby można było zrezygnować w pełni z czegoś tak prozaicznego i zwykłego, jak praca. Tym bardziej że były traktowane jako uprzywilejowane momenty historii, tej historii, która dzieje się na oczach i nie zna miejsc pustych. Victor Klemperer pisał w swych rozważaniach o języku Trzeciej Rzeszy, iż narodowy socjalizm «przypisuje sobie taką ważność, (...) że wszystko, czego się tknie, zyskuje w jego oczach historyczne znaczenie. (...) historyczne jest każde święto plonów, historyczny jest każdy Par-teitag, historyczne jest święto jakiegokolwiek rodzaju, a ponieważ Trzecia Rzesza zna tylko dni świąteczne — można powiedzieć, że cierpiąca ona na niedostatek codzienności, tak samo, jak ciało może cierpieć na chorobliwe odsolenie. W ten sposób wszystkim swym dniom przypisuje ona historyczne znaczenie». Kiedy jednak historia ma się objawiać i spełniać w każdym momencie, nie ma jej wcale. Jest tylko mit — wyrażający się choćby w owych rzymskich świętach, które zafrapowały wybitnego kompozytora.

Dzieje upadku

Monografia wielkiego pisarza pomyślana jako historia upadku. Monografia paradoksalna, bo w jego dziele interesuje to przede wszystkim, co wielkie, nie — przekazy aberracji i załamania. Książka Tertza «Dans l'ombre de Gogol» zaczyna się od «Epilogu», relacjonującego ostatnie lata autora «Martwych dusz», kiedy był on wiernopoddającym entuzjastą caratu, przewyższającym w zapale niejednego zawodowego zelanta, kiedy identyfikował się z postawami ciemnymi i groźnymi, przyswajając sobie najskraj-

niejsze idee nacjonalistyczne. Miejsce śmiechu zajęła apologia istniejącego świata. Jak to się stało, jak to było możliwe? Autor wskazuje różnego rodzaju czynniki, ogólne i indywidualne, społeczne i psychologiczne, literackie wreszcie. Szukając odpowiedzi, jest konsekwentny: stara się dostrzec zapowiedzi upadku już w dziełach, których wielkości nie kwestionuje. A więc nowe spojrzenie na pisarską ewolucję, jakby według zasady, że robak się lęgnie i w bujnym kwiecie? Nie jest to w tym przypadku sprawa starczego wyschnięcia talentu i charakteru (Gogol zmarł osiągnąwszy zaledwie wiek średni). Książka ta stanowi monograficzny esej o indywidualnej biografii, rzadkiej w dziejach światowej literatury, to prawda. Jest jednak także czymś więcej, jest przypowieścią. Przypowieścią o upadku pisarza, nie będącego w stanie się uchronić przed naporem złowrogiego świata; w konsekwencji aprobejuje on mechanizmy, które były dotąd przedmiotem jego wolnego śmiechu. Ostatnie teksty Gogola uznane zostały za kompromitujące niemal przez wszystkich, tak też osądziła je historia. Zabrakło im obrońców — w istocie nawet wśród tych, którzy podzielali podobnie konformistyczny i ciemny stosunek do świata, do jego moralnych i politycznych realiów. Zajmują one historyka literatury — już tylko z przykrego obowiązku. Smutny jest morał tej przypowieści o wielkim pisarzu, który w pewnym momencie jakby sam pozbawił się wielkości.

Czytanie katedr

Oglądamy je pośpiesznie i pobieżnie, między jedną atrakcją turystyczną a drugą. Odczytujemy, prześlizgując się po powierzchni, zatrzymując wzrok na tym, co najbardziej zewnętrzne, postępujemy więc tak, jakbyśmy pomniki literackie przeszłości poznawali, siedząc na spakowanym, do drogi gotowym bagażu. Jednakże nie na wyjeździe Dantego się czyta... Turyści, nie jesteśmy w stanie ogarnąć ich bogactwa znaczeniowego, i to nie tylko wtedy, gdy przychylny los zaprowadził nas do budowli w sensy tak zasobnych, jak katedry w Burgos czy w Chartres. Nie jesteśmy w stanie zorientować się w symbolicznym bogactwie tak ogólnej struktury, jak szczegółów (choć skądinąd szczegóły to monumentalne), rzeźb i płaskorzeźb, wystroju ambon i kaplic, roz-

mieszczenia elementów itd. Jesteśmy bezradni tak właśnie, jak byłby bezradny czytelnik, który chciałby obcować z Dantem w ten sam sposób, co z powieścią Agaty Christie. Nie mamy po temu warunków, by katedry czytać tak, jak one na to zasługują, bo w istocie lektura ta, nie mniej trudna i nie mniej wymagająca niż czytanie średniowiecznego poematu, stała się zajęciem wakacyjnym, wprzęgniętym w banalny tryb odpoczynku i rozrywki. Czytanie katedr, tak naskórkowe, pozostawia — gdy się nad tym zastanowić — poczucie niespełnienia. Rozległe przestrzenie katedry florenckiej, po obejrzeniu pobieżnym, stają się czymś w rodzaju świetnie zdobionej, genialnie zaplanowanej stodoły.

Raz tylko miałem poczucie, że zabytek, który oglądam, został rzeczywiście odczytany. Nie była to katedra, ale barokowy kościół św. Piotra i Pawła w Wilnie. Stało się to dzięki Jerzemu Ordzie, nie zawodowemu przewodnikowi, lecz wybitnemu historykowi sztuki, który grupie wycieczkowiczów objaśniał kościół tak, jak wnikliwy interpretator ujawnia tajemnice zawikłanego i skomplikowanego dzieła literackiego. Orda, przygotowujący monografię kościoła (nie udało mu się jej napisać), właśnie odczytywał jego symboliczne sensy.

Prolegomena do krawatologii

W angielskim uczonym czasopiśmie natrafiłem na artykuł poświęcony symbolicznemu znaczeniu krawata w środowisku studenckim. Dwaj autorzy zabrali się do dzieła z prawdziwie naukowym rozmachem i pasją poznawczą: zbadali reprezentatywną część studenckiej populacji płci męskiej jednego z uniwersytetów, rozpisali ankietę, dokonali obliczeń i przedstawili ich wyniki w procentach, ozdabiając swój artykuł szczerze zestawieniami, tabelami i wykresami. Z jasnością sformułowali wnioski. Studenci noszący krawaty są dużo bardziej skłonni do postaw konformistycznych niż ich koledzy niechętni temu szczegółowi męskiej elegancji: cenią swych profesorów i uniwersyteckie status quo, aprobują istniejące struktury społeczne, realnie myślą o swym miejscu w świecie.

Autorzy stworzyli podstawy krawatologii. Choć wdzięczni, nie możemy jednak poprzestać na rudymentach tej wiedzy. Chcielibyśmy,

by zajęła się problematyką bardziej dogłębnie i szczegółowo. Zapytamy przeto, jakie znaczenie mają krawaty gładkie, a jakie — w groszki, w ciapki, w rzucik, czy w wyraźne wzory geometryczne. Także kolor nie powinien ująć naszej uwagi. Zagadnienie nie ogranicza się tylko do krawatów nieprzedstawiających. My, starsi, pamiętamy, że w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych pewni młodzieńcy, zwani w tamtych odległych czasach bikiniarzami, zwykli nosić krawaty przedstawiające sylwetki dam w stroju nie zawsze kompletnym. O jakich postawach krawaty te świadczyły? Z pewnością, autorzy nam odpowiedzą, bikiniarze nie byli studentami, znajdują się poza badaną populacją. To prawda, nie ma jednak powodu, by dociekania krawatologiczne zacieśniać do jednej tylko grupy społecznej. I do tego wszakże sprawa się nie ogranicza. Obok krawatologii opisowej powinna powstać krawatologia historyczna. A ileż możliwości otwierają analizy interdyscyplinarne, np. z pogranicza krawatologii i kapilologii! Krawat a broda, krawat a wąsy, krawat a różne rodzaje czupryn... I jeszcze krawatologia stosowana. Nie możemy przecież odrywać nowej dyscypliny od życia i pozostać obojętnymi na jej praktyczne znaczenie. Wskazówka, jakiego typu konformistów jest najwięcej, i w jakiego typu krawatach szczególnie oni gustują, byłaby wręcz bezcenna dla producentów, którzy dzięki niej uniknęliby — ku powszechnemu ukontentowaniu — wytwarzania przedmiotów mniej poszukiwanych, w pełni zaspokajając społeczne zapotrzebowanie. Prawdziwa nauka ma kolosalną przyszłość!